*Prolog*

**Smutno mi, Boże**

– A więc tak to sobie zaplanowałeś? Zero kompromisów? Już sama nie wiem, czy mogę o to prosić… Choć czuję, że nie…

Do tej pory jakoś się trzymałam, ale wraz z wypowiedzeniem tych słów poczułam pęknięcie na sercu. Niby delikatne, jednak bolało.

Nie wzbraniam się przed łzami. Niech zaleją moje policzki, niech wypłyną i zabiorą ze sobą cały smutek. Gdyby to było jeszcze takie pro­ste… Odnoszę wrażenie, że ból wydostaje się tylko na chwilę, by potem po cichu wniknąć porami skóry z powrotem do serca. Wśród szeptów liści i drzew opłakuję swoje młode, a jakże kruche ciało.

„Nie biegnij za szybko” – w uszach dźwięczy melodia z dzieciństwa. – „Zwolnij, odpocznij, uważaj”. Wszyscy byliśmy świadomi, że „data ważności” tego ciała będzie raczej krótsza niż dłuższa. Mimo to Bóg i tak nas zaskoczył.

Elizabeth Green posiada kilkunastostronicową kartę chorób. Po jej przeanalizowaniu lekarze skrócili moje życie do dwóch lat. Wróżka była hojniejsza i dała mi pięć. Może to nierozważne, ale ta przesympatyczna kobieta wzbudziła we mnie więcej zaufania, nawet jeśli tylko bawiła się fusami.

Siedzę na swoim przyjacielu kamieniu, patrzę w gwiazdy i próbuję się uspokoić. Usłyszałam diagnozę kilka dni temu. Dopiero teraz znalazłam siły, żeby z Nim porozmawiać. Minęła godzina, nim wypowiedziałam to jedno zdanie:

– Tak to zaplanowałeś…

Byłam pewna, że zrobię awanturę, ale kiedy tu przyszłam i poczułam Jego obecność, wiedziałam, że taka jest Jego wola, to musi się wydarzyć. I wydarza się powoli, teraz, we mnie, głębokie poczucie akceptacji. Tak musi być, Elizabeth, za pięć lat umrzesz.

Dzieje się kolejna rzecz. Łzy utworzyły powódź na mojej twarzy. Kibicuję sobie w duchu, żeby wylać ich jak najwięcej, żeby pozbyć się chociaż grama masy, która miażdży moje serce.

*Wszystko dzieje się dla twojego dobra, kochanie.* – Wiatr przynosi mi do ucha Jego słowa. – *Zaufaj mi.*

Z zamkniętymi oczami, ze łzami i spuszczoną głową zaczynam nucić melodię swojego życia:

*Wschodami gwiazd i zachodami*

*Odmierzam czas liści kolorami…*[[1]](#footnote-1)

\*\*\*

– Idziemy, maleńka. No już, bo zmarzniesz.

Poczułam jego zapach kilka minut temu. Jego też przywiał wiatr.

– Życie z tobą jest wymagające, Pocahontas – oznajmia i przerzuca mnie sobie przez ramię. Chciałabym go przeprosić, że zamieniłam się w bezwładny worek ziemniaków, ale moje zmęczone i mokre od deszczu ciało skapitulowało. Nie jestem w stanie poruszyć nawet najmniejszym mięśniem.

Idziemy z Jacobbem przez las – on idzie, a ja wiszę – w milczeniu. Z oczywistych względów nie mam siły się odezwać, ale Batman – nazy­wam go tak, odkąd skończył sześć lat i po raz pierwszy wyciągnął mnie z tarapatów – jest w pełni sprawny, a mimo to również milczy. Wiem, że przyzwyczaił się do wybryków Pocahontas i nawet jeśli go irytują, nie daje tego po sobie poznać.

Kochany Jacobb.

Rano, nim otwieram oczy, wyczuwam jego ciepło. Nie powinno mnie to dziwić, a jednak pytam:

– Nadal tu jesteś?

– Zawsze będę, przecież wiesz – odpowiada całkiem przytomnym głosem.

To do niego niepodobne. Jacobb jest typową sową. O tej porze dnia jego ciało zwykle śpi, a dusza hula gdzieś po innych wymiarach. Od­wracam głowę i spod lekko uchylonych powiek spoglądam na niego podejrzliwym wzrokiem.

– Przyjemniej się z tobą rozmawia, kiedy masz zamknięte oczy. Nie lubię, gdy patrzysz na mnie wzrokiem Sherlocka Holmesa.

Otwieram je jeszcze szerzej, drocząc się z nim.

– Okej, wyluzuj. Miałem misję.

– Szczegóły poproszę.

Obracam się w jego stronę, opieram głowę na dłoni i przyglądam się mu z autentyczną ciekawością.

– Musiałem cię pilnować.

– Czy w nocy miał się odbyć atak zombie, o którym nic mi nie wia­domo? – pytam ironicznie. – Albo nie, to byłoby zbyt banalne. Może bałeś się, że umrę tej nocy, a nie za pięć lat?

– Wiem, co robisz. Próbujesz obrócić swoją chorobę w żart.

– Staram się rozwikłać zagadkę. Dlaczego mój przyjaciel całą noc gapi się na dwudziestoletnią dziewczynę? Jestem dorosła, Jacobb. Pora­dziłabym sobie z zombie.

– Z zombie może tak, ale z samą sobą już nie. Jesteś nieobliczalna, Pocahontas. Gdybym wczoraj cię nie znalazł, to pewnie dziś już byś nie żyła.

– Pięć lat, zapomniałeś?

Przewracam się na plecy i z przyzwyczajenia zaczynam liczyć papie­rowe gwiazdy, którymi ozdobiłam sufit.

– To ty zapomniałaś, że teraz bardziej niż zwykle musisz dbać o swoje zdrowie. Ostra niewydolność nerek. Żarty się skończyły.

Za to go kocham. Jest brutalnie szczery i mówi to, co powinnam usłyszeć. Nasze spojrzenia spotykają się na moment, zatrzymując się w cichej rywalizacji.

– Kiedy odstawiasz takie akcje, bardziej przypominasz Xenę wojow­niczą księżniczkę niż Pocahontas.

– Za którą bardziej przepadasz?

– Za tobą całą. Inaczej by mnie tu nie było.

Wtulam się w niego, by jeszcze chwilę się przy nim ogrzać. Nie wiem, czy to sprawka siłowni czy genów, ale skóra mojego przyjaciela jest zawsze bardzo gorąca. Ten gest oznacza także koniec wojny. Xena wywiesiła białą flagę.

– Ty za to jesteś moim Batmanem. – Spoglądam mu głęboko w oczy. – Zawsze wywęszysz niebezpieczeństwo i przybędziesz na czas. Tylko przy tobie czuję się bezpieczna.

– Może powinniśmy cię awansować na Małą Mi. – Zakłada niesforny pukiel włosów za moje ucho. – Podnosisz ciśnienie jak ona, a potem w sekundę rozmiękczasz mi serce.

– Przesadzasz. Mała Mi miała większe jaja ode mnie – odpowiadam ze śmiechem.

Jacobb jednak szybko poważnieje.

– A tak serio – jego głos nabiera ciężkości – to bałem się, że w nocy wpadniesz na pomysł, żeby wrócić na kamień.

– Nie było już takiej potrzeby – uspokajam go.

– Pokłóciłaś się z Nim? – Jego ton jest delikatny, jakby nie chciał przekroczyć jakiejś granicy, jakby bał się mojej odpowiedzi.

Chciałam! Naprawdę chciałam wykrzyczeć cały ból, niezgodę i żal, który zżerał mnie od środka, ale wtedy zapach trawy dotarł do mnie jak zimny powiew, przypominając wszystko, czego nauczyłam się od Ziemi. Czułam, jak jej ramiona przytulają mnie, jakby szepcąc: „Nie musisz walczyć z tym, czego nie możesz zmienić”.

– Z życiem się nie dyskutuje, Jacobb.

*Wszystko dzieje się dla twojego dobra, kochanie* – przypominam sobie Jego słowa.

– I co zamierzasz?

– To, co zawsze, zaufać. Innej drogi nie ma.

Spoglądamy na siebie przez chwilę, cisza wypełnia pokój, jakby­śmy oboje łapali oddech, starając się oswoić to, co niewypowiedziane. W końcu z moich ust wymyka się szept:

– A ty? Ufasz?

Kiedy nie odpowiada, spoglądam w jego oczy, które teraz wydają się szkliste. Tańczy w nich coś, co przypomina strach. Jego wzrok zdradza wszystko. Właśnie tam, w tych oczach, jest cała odpowiedź.

Delikatnie kładę dłoń na jego policzku. Czuję, jak drży. Jakby to, co powiedziałam, dotknęło czegoś bardzo głębokiego w nim. Wtulam się w niego, czując, jak moje serce bije w tym samym rytmie, co jego.

– Ufam – szepcze po chwili, a jego słowa brzmią jak ulga. – Ale jeszcze się kłócę.

– To kłóć się, jeśli musisz. Jeśli taka melodia teraz w tobie gra. – Uśmiecham się lekko, choć serce wciąż mam pełne tych nieodgadnionych emocji, które mieszają się ze sobą w dziwny sposób.

Leżymy w ciszy, nasze spojrzenia spotykają się, jakbyśmy starali się znaleźć sens w tym, co dla innych wydaje się chaosem.

– Jesteś w tym taka silna, wiesz? – Jego głos jest cichy, prawie nie­dosłyszalny, jakby mówił do mnie, ale nie chciał, by słyszał ktoś inny.

– Wiesz dlaczego. – Mówię to z takim przekonaniem, jakbym nie musiała tego tłumaczyć.

On uśmiecha się i całuje mnie czule w czoło.

– A ja bałem się, że się z tego nie podniesiesz. Kupiłem nawet zapas chusteczek.

– Kiepski żart, Batmanie – mówię z udawanym oburzeniem, ale on tylko unosi brew.

– Gdybyś była normalna, wykupiłbym cały sklep z chusteczkami.

Jego głos brzmi lekko, a w oczach błyszczy coś, co przypomina na­dzieję. Zaśmiewamy się, ale zaraz potem na mojej twarzy pojawia się poważny wyraz.

– Kto mi cię zabrał? – pyta, szturchając mnie łokciem, gdy przez chwilę milczę, zamyślona.

– Złota rybka.

Jego mina zdradza pełne niezrozumienie.

– Dałeś mi ją w prezencie na dziesiąte urodziny. Pamiętasz, o co ją wtedy poprosiłam?

Chwilę trwa, zanim coś przebije się przez jego wspomnienia.

– O osiemdziesiąt lat.

Potakuję, pozwalając mu domyślić się, co chodzi mi po głowie.

– Już wiem, z kim rozmawiam, Pocahontas. Czyli… masz zamiar w pięć lat przeżyć pięćdziesiąt?

Patrzy na mnie z niedowierzaniem, jakby zastanawiał się, czy nie zwariowałam. Sięgam po zeszyt i czystą kartkę, czuję, jak pióro w moich rękach jest cięższe niż zwykle.

– Co robisz? – pyta, znowu nie rozumiejąc.

– Jeśli zostało mi pięć lat, muszę zrobić nową listę marzeń. – Z każdym wypowiedzianym słowem czuję, jak staję się bardziej świadoma tego, co mi pozostało. I tego, co jeszcze mogę zrobić.

Ostatnią…

– Czyli mówisz, że czeka nas ekscytujący czas?

Siada obok mnie na łóżku. Patrzy to na mnie, to na kartkę, którą właśnie zaczynam wypełniać. W jego oczach walczą różne emocje, które stara się przede mną ukryć, po chwili jednak się uśmiecha i wyciąga do mnie mały palec.

– Tam gdzie ty, tam ja.

Zaczepiam swój mały palec o jego, przypieczętowując nasze wza­jemne oddanie.

1. Andrzej Rybiński, *Nie liczę godzin i lat.* [↑](#footnote-ref-1)